

## Dwaj panowie S., czyli rozmowy o literaturze i nie tylko

(Dokończenie ze strony 3)

śnienia". A najciekawsze jest to, że rok temu w Kutnie miałem okazję wysłuchać przedmówczego (rzekomo) eseju, prezentowanego przez Dyckiego, o tym jak to Konopnicka była wyszydzana przez środowisko endeckie i związane z Kościołem, które nie doceniło jej talentu, bo miała czelność pisać o kontrowersyjnych tematach. Analogię Dycki zrobił łopatologiczną. Otóż on i jemu podobni są ponoć w dzisiejszych czasach w sytuacji Konopnickiej, są niezrozumianą awangardą, ale także przyszłością polskiej literatury. Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. To przecież tak, jakby Salieri grzmiał ex cathedra, że zalewa go disco-polo w wykonaniu Mozarta i jemu podobnych, a on, Salieri, wraz z przyjaciółmi jest tym, który wprowadzi muzykę w trudną lecz ambitną epokę.

**Tomasz Sobieraj:** – Tak, ale Salieri był świetnym kompozytorem, o czym się zapomina, szczególnie po filmie Formana, a Mozart czasem rzeczywiście zaspokajał ówczesne najniższe gusta. Obaj jednak mieli talent, wiedzę i umieli komponować – każdy robił to inaczej, wybierał inną metodę pracy, bo każdy miał inny temperament. Pisała o tym Nadieżda Mandelsztam. Natomiast nasi wybrańcy Kaliope to raczej uliczni grajkowie, pastuszkowie, co najwyżej orkiestra weselna. Natomiast twierdzenie czy też sugestia Dyckiego, że on i jemu podobni są awangardą, to oczywiście nonsens. Awangarda to mniejszość, a „awangardowo” piszą obecnie szerokie masy, zatem taka jest konwencja epoki, a konwencja nie może być awangardą, bo to logiczna sprzeczność...

**Jan Siwmir:** – ...i o to mi w tej analogii chodziło! Ale masz rację, porównywanie wypocin naszej „wierchuszki literackiej” z Salierim to nadużycie. Ni tu warsztat, ni oryginalności...

**Tomasz Sobieraj:** – ...owszem, na początku XX wieku, gdy pojawił się futuryzm, dadaizm, awangarda krakowska, „Zwrotnica”, były one świadectwem zerwania z tradycją, polem do artystycznych poszukiwań wywołanych impulsami współczesności. Dążono wtedy do programowości, uzasadniano teoretycznie tę blagę, jak chociażby Peiper w „Nowych ustach” i „Tędy”. Twórczość miała pozostawać w „uścisku z teraźniejszością”. Wyobrażasz sobie, że współcześni tak zwani awangardziści piszą spójne, jasne i logiczne programy teoretyczne? To by była komedia. Przecież często nawet nie mają matury, nawet giertychowskiej czy prywatnej, i jedyne co mogą, to bredzić od rzeczy i polegać na korektorach, którzy usuną ich niezliczone błędy ortograficzne. Oni są w istocie przedstawicielami literatury przydennej, łatwej, masowej i hip-hopowej, w sam raz dla ćwierćinteligenta, którego potoczny i wulgarny język podnieca. Nazwiska, które wymieniał, to nie jest awangarda – to zanurzeni po szyję w nieudolności i banalności wierszokleci, twórcy ludowi, narcystyczni i nieświadomi swojego epigoństwa,

zachłystujący się własnymi przypadkowymi wydzielinami słownymi, uznawanymi w ich kręgu za ewaporaty najtępszej myśli. Dołączył do nich Dycki. I tak jak kolezdy, pewnie nie czytał Horacego, który pisał: „Nie bardzo też wiadomo, czemu kleci wiersze, czy że oszczał ojców prochy, czy nieczysty, naruszył smętne gromowisko: to jest pewne, że szalejąc jak niedźwiedź, co kraty wylał, gna za głupcem...”. Tak, już wtedy przyjaciel Mecenasa zauważył istnienie „awangardy”. Niemniej, twój osąd wierszy Dyckiego wydaje mi się niepełny – dla mnie są one równie świadectwem, jak można swobodnie połączyć wołanie do Boga, homoseksualny stosunek oralny, wytrysk, robiąc kupę matkę, szczanie do pisuaru z lamentem nad marnymi w istocie właściwościami nalewki z pigwy, która nie czyni życia poety łatwiejszym. Ale, gdy pisał, czy chodziło mu o to, żeby czytelnik się nad nim użalał? O co, do licha, chodzi Dyckiemu? Żeby go pogłaskać? Przytulić do piersi? Jaki jest jego program artystyczny...

**Jan Siwmir:** – ...program artystyczny Dycia streszcza się w jednym zdaniu, które urzekło cię tak samo jak mnie: „istota poezji jest nie tyle zasadność, co bezzasadność napomknienia i powtórzenia”. Szukając zatem tego, co dobre w tym tomiku, można powiedzieć, że program jest konsekwentnie realizowany, a nawet zrealizowany do ostatniego braku kropki. Poza tym niemożność zdecydowania, którą wersją wiersza z brudnopisu uszczęśliwić świat, stawia Dyckiego w sytuacji trzyletniego dziecka nie mogącego wybrać, czy dać mamusi laurkę z nabazgranym serduszkim, czy raczej kolorowaną z serduszkim i strzałą. Obie rzeczy wprawdzie na poziomie kalkulata, ale ile emocji temu wyborowi towarzyszy! A zaprzysiężeni z autorem krytycy zachwycają się (podobnie jak muszą to robić rodzice dziecka) powtórzeniami i pieją z zachwytu nad szczupłą (pomimo tychże powtórzeń) objętością tomiku. To, co krytykowali chociażby w twoim „Domu Nadzoru”, tu jawi się jako obraz geniuszu! Tak to już jest, że u przyjaciół wszystko jest arcyciekawe, a u wrogów te same rzeczy uznawane są za niedopuszczalne. Rzadko kto potrafi oddzielić sympatię do autora od jego twórczości. Czy wyobrażasz sobie, że Dycki z przyjaciółmi prowadzi takie spory, jakie my niekiedy prowadzimy w prywatnej korespondencji, brutalnie krytykując nawzajem swoje utwory po to, żeby to, co ujrzy światło dzienne, było najlepszą wersją z możliwych? Sądzę, że nie, bo obracam się w środowisku literatów i zdaję sobie sprawę, że zarzucenie któremukolwiek z nich jakiegokolwiek błędu, jakiejś niezręczności, skutkuje jedynie stworzeniem sobie śmiertelnego wroga. Wracając do rozmiarów dzieła, czy warto w ogóle podnosić zarzut, że coś jest mizerne objętościowo, czy wręcz przeciwnie, ma kilka tomów? Moim zdaniem istotna jest jakość.

**Tomasz Sobieraj:** – To oczywiście. Wolę jeden diament, niż kupę żwiru, nawet jeśli są w niej barwne krzemienie. Ilość nad jakość mogą przedkładać tylko głupcy, którzy nie czytają, i nigdy nawet nie widzieli szczupłych objętościowo dzieł Nietzschego, Schulza, Gombrowicza i wielu innych, dla których ważna była myśl, a nie stachanowskie współzawodnictwo, tak dzisiaj modne wśród piszących. Przypomnij sobie serię »Mikropowieść« wydana

przez PIW – jakie tam były nazwiska! Dzisiejsi niedouczeni krytycy uznaliby te „książeczki” za „skromniutkie utwory”. Jednak „Piosenka o...” Dyckiego to przykład książeczki nieporządnej pod każdym względem, literatury nieistotnej, gdzie nie uświadczysz ani jednej lotnej frazy czy głębokiej myśli, o estetycznych zachwytach nawet nie ma co marzyć. Jest w niej za to życiowy banał, społeczny margines, naturalizm – bynajmniej nie w genialnej formie, którą znamy chociażby z „Les Fleurs du Mal”. Zobacz jeszcze, jak z ekshibicjonizmu i bezradności Dyckiego robi się atut. Taki Morsztyn czy Kawafis poprawiali wiersze, szlifowali, cyzelowali, odkładali do szuflady i wracali do nich, nawet po latach. Robi to zresztą każdy świadomy i dojrzały poeta. Tylko infantylni, nieudolni, a jednocześnie zakochani w sobie twórcy każde wydalone przez siebie słowo traktują jak Słowo, boski głos wieszczca, co prowadzi jedynie do śmieszności – patrz von Dehnel, Milewski, Zumis, Maliszewski czy inni głusze spod znaku sekcji literackiej koła gospodyń wiejskich. Wracając do Dyckiego: sam pisze, że „machnął” wiersz – rzeczywiście, on i jemu podobni w istocie nie piszą, nie analizują, nie myślą, nie przeżywają metafizycznych niepokojów i estetycznych zachwyty – ich literackie wytwory to są machnięcia, drobne bączki, a nie dojrzała twórczość.

**Jan Siwmir:** – U jakiegoś apologety Dyckiego znalazłem stwierdzenie, że w omawianym przez nas wierszopodobnym tomiku znajdują się wyrafinowane sceny homoerotyczne. No, stwierdziłem, jeśli tak wygląda wyrafinowanie w tym środowisku, to ja im głęboko współczuję. Ale, niestety, moja druga połowa przytoczyła jakąś zasłyszaną niedawno historię o prostytutce, która opowiadała, że dla niej najbardziej wyszukane żądanie niepokojów, to było bieganie po pokoju z zapaloną świecą w pupie. Toteż jakby od tej strony interpretacyjnej spojrzeć...

**Tomasz Sobieraj:** – ...rety, i ta kąpiąca na dywan stearyna! Ale mówiąc poważnie: rzeczywiście, erotyczne wyrafinowanie jest w tomiku Dyckiego równie szalone i barwne jak życie seksualne tęgoryjca. Przejrzyj jednak do konkretów – nie tylko erotycznych. Wybrałem co smaczniejsze frazy z nagrodzonego Nike cherlawego zbiorku powtórzeń, czknieć i napomknienia. Cytuję stojąc na baczność, by okazała szacunek należny wielkim słowom poety: „nekrologi będą zawsze czymś więcej aniżeli współczesna poezja polska, na którą nikt się nie rzuca” – słusznie; „ślimak ślimak wystaw rogi dam ci sera na pierogi albo wypierdalaj” – didi gugu dada lala jeb; „i jeszcze mu mało gdy bierze do ust” – nie jestem znawcą stosunków homoseksualnych, ale może by tak spróbować od tyłu? – „w kakałko” – jak pisał inny geniusz, Winiarski Jakub; „po bolsie pewnego razu machnąłem utwór polityczny ale mi wyszedł paw” – tylko jeden? To dobrze czy źle? Jeśli źle, to może trzeba było nie pić? Pisanie na trzeźwo ma jednak, wbrew powszechnej opinii, sporo zalet; „każdy poeta jest zbokiem pisząc wiersze z Bogiem i mimo Boga” – cóż, ja nie podzielał tego optymizmu pana Dyckiego, bowiem pisząc z Bogiem i mimo Boga czuję się poeta niezbożnym, aczkolwiek stawia mnie to poza dzisiaj obo-

(Dokończenie na stronie 22)